Tom III. 11. Stycznia 1871. Nr. 2.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Na wojnie.

Każdy z was pamięta zapewne rok 1866. Ciężkie to były czasy, Prusak wszedł do Królestwa czeskiego, Austryacy zbierali wojska, ze wszystkich stron szli a szli bez końca rekruci i żołnierze. Matki płakały za synami, żony za mężami, siostry za braćmi, a nie jeden tęgi parobczak zaklął Prusaków, że przez nich rzucać musiał rolę i gospodarstwo i bić się Bóg wie na co. W Tarnowie przed magazynami wojskowemi pełno stoi ludzi; powołani do pułków urlopnicy odbierali broń i rysztunek wojenny. Kaprale i oficerowie biegają tam i nazad i zwyczajnie po wojskowemu klną, czy trzeba czy nie trzeba. *Ferflucht*, *Sapperment* słychać na wszystkie strony, nie obejdzie się też i bez szturkańców. Żydki kręcą się między tłumem i zwyczajnie ot jak żydzi, radziby skorzystać z cudzego nieszczęścia, namawiają to do napitku to do kupna różnych drobiazgów.

— Nu panie wojak napijcie się półkwatyrek, na wojnie nie potrzeba pieniądzów, — przemówił rudy Mosiek do żołnierza stojącego obok starego gospodarza i jego żony.

— Daj mi spokój żydzie, nie w głowie mi teraz wódka. Żołnierz ten zwał się Wojciech Żurek, a gospodarz i gospodyni z któremi rozmawiał byli jego rodzice. Stary Żurek za-

możny gospodarz z pod Tarnowa, ze smutkiem spoglądał na syna, który w mundurze i z karabinem stał przed nim, biedna Żurkowa głośno zawodziła i płakała.

— Nie płaczcie matuniu, mówił Wojtek, — toć nie każda kula trafia, Bóg łaskaw pozwoli mi wrócić, abym wam był pomocą.

— Biednaż ja biedna, biedna moja głowa, zawodziła stara, — co ja pocznę bez Wojtka!

— Ha cóż robić, żal tu nie pomoże, dodał stary Żurek, choć i on omal że się nie rozpłakał przystąpił do Wojtka, włożył mu na szyję szkaplerz poświęcony i medalik Matki boskiej częstochowskiej. — Idź Wojtku kiedy już taka wola Boża, Bóg Wielki i jego Najświętsza Matka, niech cię bronią od kuli pruskiej, mówił stary gospodarz. Wojtek uścisnął go za kolana i ręce całował, a potem znowu zwrócił się do zapłakanej matki i żegnał ją i prosił, żeby nie płakała.

Richt euch! zawołał komendant, nie było już czasu, Wojtek chwycił za karabin i pobiegł do szeregu. Oddział się uszykował, dobosz uderzył w bęben, oficer zakrzyczał masz! marsz! a żołnierze ruszyli z miejsca.

Czas jakiś stali Żurkowie, patrzali za odchodzacym synem, aż wreszcie kiedy wszyscy się już prawie rozeszli i oni zwolna zaczęli się kierować ku domowi. Wojtek z żołnierzami poszedł do dworca kolei żelaznej, tam wsiedli na wozy, maszyna ruszyła i dalej w świat do Czech. Dwa dnie i dwie nocy jechał nasz Wojtek, dużo minął wsi i miast wielkich, aż wreszcie w Czechach stanął i połączył się z ogromnem wojskiem austryackiem, które miało przeszło stotysięcy ludzi. Wojna zaczęła się na dobre, codzień prawie była jakaś bitwa, ludzie ginęli jak muchy. Ze wszystkich stron nadciągali Prusacy. Na dniu 3. lipca 1866. przyszło wreszcie do wielkiej bitwy pod Sadową. Austryakami dowodził Benedek, a Prusakami ich król Wilhelm. Oba wojska biły się zażarcie, ziemia drzała od huku armat. Do południa byli Austryacy górą i zdawało się, że pobiją Prusaków, ale po południu nadeszły Prusakom znaczne posilki, Austryacy nie mogli się utrzymać i zaczęli uciekać. Straszne

powstało zamięszanie, kto mógł ratował się ucieczką, konnica pruska pędziła za uciekającymi, tratowała, zabijała i brała niewolnika Nikt już nie słuchał komendy, żołnierze rzucali broń i tornistry, byle tylko łatwiej mogli uciekać.

Wiele tam ludzi poginęło od pruskich kul, a wiele się w rzece potopiło, która obok płynęła, trudno policzyć. Na drugi dzień kiedy się wojska austryackie cokolwiek zebrały, nakazał jenerał pułkownikowi, w którym służył Wojtek, a który w dość jeszcze dobrym był porządku, żeby maszerował na tyle i bronił cofające się wojska od napadów pruskich. Ciężka to była służba, ciągle trzeba się było mieć na baczności, ciągle uważać czy się gdzie jaki Prusak nie zakrada, czy nie grozi jakie niebezpieczeństwo. Ledwie że w nocy było parę godzin spoczynku, zresztą od świtu aż do późnego wieczora ciągle marsz i marsz, że nieraz kilka dni ciepłej strawy nie wzięło się do ust. Przeszło tydzień szło tak całe wojsko bez wytchnienia prawie, a oficerowie powiadali, że dopiero na Węgrzech nastąpi dłuższy wypoczynek, bo teraz gdyby chcieli obóz założyć i dni kilka odpocząć, wnet by się zjawili Prusacy i znowu trzebaby bitwę staczać, a wojsko tak było zniszczone, że o wygranej nikt nawet pomyśleć nie mógł. Z cierpliwością znosił nasz Wojtek wszystkie te dolegliwości i trudy i gorąco dziękował Bogu i Matce jego Najświętszej, że w tej strasznej bitwie pod Sadową, gdzie ludzie padali jak trawa od kosy, zachowali go przy życiu.

Podczas tego odwrotu przypadła raz kolej na naszego Wojtka iść jako ostatnia straż całego wojska. Szło z nim jeszcze dwóch innych żołnierzy. Dzień był piękny, słoneczko lipcowe mocno przygrzywało, okolica była cicha i pusta, zdawało się, że nigdzie nie ma Prusaków, to też nasi żołnierze szli sobie swobodnie, strzelby poprzewieszali przez ramiona i rozmawiali o swych wioskach i krewnych i znajomych, których zostawili w domu. Naraz huknął strzał, jeden z towarzyszy Wojtka jęknął, schwycił się za piersi i padł nieżywy na ziemię. „Prusaki! Prusaki!“ krzyknął drugi, rzucił broń o ziemię i zaczął uciekać, Wojtek także nie mało się uląkł, wnet

się jednak opamiętał. Obejrzał się dokoła i na drodze kilkaset kroków od siebie ujrzał dwóch Prusaków. Hełmy ich i bagnety zasadzone na karabinach błyszczały w słońcu, szybkim krokiem posuwali się naprzód. Toć Niemca Prusaka wyprawić na tamten świat, nie ma grzechu, pomyślał Wojtek, zmierzył i strzelił. Widać dobrze celował, bo jeden z Prusaków wypuścił karabin z rąk, schwycił się i upadł. Drugi krzyknął: *Vorwärts!* Kolbę podniósł w górę i biegł naprzód. Wtedy nasz Wojtek nie tracąc czasu, rzucił swą wystrzeloną strzelbę, schwycił za broń zabitego towarzysza i znowu się zmierzył. Prusak zmiarkował na co się zanosi, szybko i zręcznie jak kot skoczył w rów przy drodze i znikł gdzieś w pobliskich krzakach. Wojtek poszedł za nim, nie mógł go jednak odszukać, Prusak znikł bez śladu. Po daremnem szukaniu wrócił znowu na drogę i stanął przed Prusakiem, którego powalił swym strzałem. Leżał on na ziemi bez znaku życia, oczy miał zamknięte, kula trafiła w lewe ramie, struga krwi ciekła z rany.

„Poczęstowałem Niemca, nie będzie już łaził po świecie", zawołał Wojtek i schylił się, aby zabrać karabin pruski. W tej chwili żołnierz pruski, jakby przebudzony tym głosem, otworzył oczy, podniósł trochę głowę i cicho ale wyraźnie przemówił:

— Oj bracie! nie Niemca zabiłeś ale Polaka katolika. Wojtek osłupiał niewidział gdzie jest i co się znim stało, zawsze mowiono mu że Prusak to Niemiec i luter a teraz pruski żołnierz przemawia do niego w języku ojczystym i mówi mu, że jest Polakiem i katolikiem. — Chyba czary jakieś, czy też może Prusak nauczył się gdzie po polsku i udaje Polaka i katolika abym się nad nim ulitował.

— Oho! Bratku nie oszukasz mnie, wiem ja, że Prusak to nie Polak i nie katolik, ale Niemiec i luter.

Raniony żołnierz rozpiął prawą ręką zwolna mundur i z za koszuli wyjął medalion Matki boskiej Częstochowskiej pokazując go Wojtkowi.

Teraz toć już muszę wierzyć żeście Polak, mówił Wojtek, bo żaden naród niema takich medalioników, żaden nie modli. się tak gorąco do Matki Bożej w Częstochowie jak my Polacy

Zamilkł Wojtek i czas jakiś tak cicho było żeś słyszał jak mucha leciała wpowietrzu. Raniony żołnierz ciężko oddychał i do ust cisnął medalionik, a nad nim stał młody Żurek patrzał w ziemię i wzdychał.

— Mój Boże myślałem że strzélam do Niemca a to był Polak! Matko Boska Częstochowska nie karaj mnie zato, bom ja nie wiedział że pod tym mundurem pruskim jest dusza polska i katolicka — tak mówił Wojtek i mało że nie zapłakał — trzeba go ratować — mruknął do siebie, pobiegł do rowu naczerpnął trochę wody zwilżył ranionemu usta a potem, jak mógł i umiał, zawiązał mu ranę aby krew nie odpływała i stał obok niego. Niedługo czekał aż też raniony znowu oczy otworzył obejrzał się do koła a kiedy zobaczył że rana obwiązana domyślał się kto to zrobił i podziękował Wojtkowi. (D. c. n.)

Mazurek.

Gdyby można choćby chwilę
Po dawnemu żyć,
Gdyby można jeszcze mile
O swej lubej śnić,
Gdyby można w druhów kole
Ściskać bratnią dłoń,
Gdyby można w cichem siole
Czerpać kwiatów woń: —

O! to świat by był zdziwiony
Ile we mnie sił,
Jaki wielki, jak natchniony,
Jakbym dobry był,
Ach! a miałbym do rozdania
Więcej niż ma król,
Miałbym serce do kochania
I miłość na ból.

A. Zaleski.

Jerzy Stefenson,

wynalazca lokomotywy.

W Anglii we wsi Wytam, leżącej w okolicy ponurej, pełnej mgły i dymu, przyszedł na świat Jerzy Stefenson. Ojciec jego zwany Starym Bobem, był ubogim górnikiem, a chociaż miał gospodarną żonę, z ciężkim mozołem zaledwie mógł zapracować na wyżywienie swoje i czworgo dzieci, któremi go Bóg obdarzył. Wszelako Stary Bob przejęty wiarą i nadzieją, że Bóg nie opuszcza tych, którzy sami o sobie nie zwątpią,

nie ustawał w pracy i wypełniał gorliwie i z całą sumiennością obowiązek stróża fabrycznego przy sikawkach. — Dzieci wiejskie i ptaki lubiły Starego Boba, i gromadnie się przy nim zbierały bo w wolnych chwilach od pracy, miał zawsze dla pierwszych zapas coraz nowych a bardzo zajmujących powiastek, dla drugich zaś pożywienie. — Syn jego Jerzy wraz z drugiemi dziećmi, chciwie słuchał opowiadań ojca, które w nim obudzały chęć do pracy, i żądzę własnym zarobkiem zyskania sobie samodzielności, a tem samem i ulżenia rodzicom ciężaru utrzymywania go. To też zaledwie odrósł, jak to mówią, od ziemi, zaczął myśleć o sobie, najął się do pasania bydła, potem był pogoniczem, nareszcie użyto go do układania węgla przy kopalni Blach-Caterton. Do szybu miał przeszło pół mili, wychodził więc z domu przed świtem, aby na czas być przy robocie, a wracał póżnym wieczorem. Miło było patrzeć na tego chłopca biegnącego ochoczo choć boso do pracy, i mającego zawsze coś dowcipnego i wesołego do powiedzenia spotykającym go sąsiadom. — Na nieszczęście były to czasy wojny i ucisku, chleb był drogi — zarobek trudny. Młodziutki Jerzy Stefenson zaledwie 30 krajcarów zarabiał dziennie. Wszelako wiara w własne siły, i zamiłowanie do pracy, przyczyniały się do jego rozwoju. W 15. roku barczysty i muszkularny nieskrzywił się dźwignąwszy cztery centnary, a marzył tylko o tem, aby mógł jak dorosły mężczyzna pracować i zarabiać. To też nie posiadał się z radości, i pewnego rodzaju dumy, gdy go przyjęto za palacza przy maszynie parowej; dowództwo nad armią jaką nie sprawiłoby mu było większego zadowolenia.

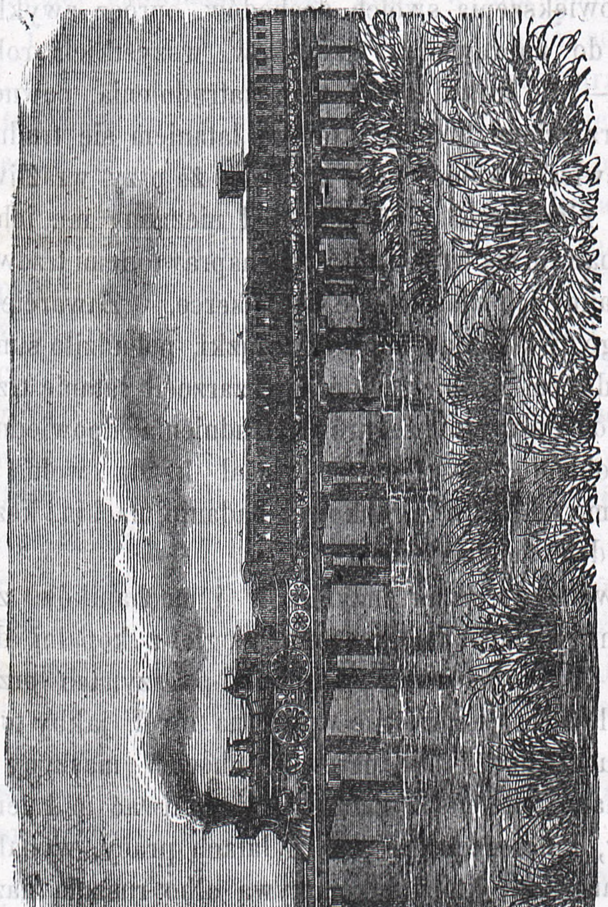
Nie poprzestał jednak na podsycaniu ognia pod maszyną, ale z całą usilnością starał się zbadać tego potwora, którego duszą była para. A gdy się obeznał z zewnętrzną postacią tego olbrzyma, gdy następnie zbadał jego części składowe, i potęgę jego działania, zawołał w uniesieniu „teraz jestem twym panem.“ I w rzeczy samej, machina posłuszną była wyrostkowi, który wskutek usilnej pracy, i zastanawiania się, przyszedł do tego, iż nietylko potrafił nią kierować, ale zdołał jej wady poprawić, i co się w niej psuło naprawić. — Wstyd go jednak ogarnął, że obeznawszy się z maszyną, nie umiał jednak czytać.

A nabycie tej nauki trudnem było zadaniem bo o dwie mile był nauczyciel, z którymby się trzeba podzielić szczupłym zarobkiem! Ale dla chcącego szczerze, nie ma trudności, którychby pracą wytrwałą nie przełamał; to też i młody Stefenson po nadzwyczajnych mozołach, prawie bez niczyjej pomocy nauczył się czytać i pi ać.

Dla powiększenia swoich dochodów, oprócz zwykłej pracy wziął się do naprawiania trzewików wszystkich robotników z okolicy. — Po kilku latach tego zatrudnienia, pewnego razu w śród olbrzymiego obuwia, którego łataniem się trudnił, spostrzegł trzewiczki kobiece tak zgrabne, że przy wrażliwej swej wyobraźni, nim ujrzał już pokochał nieznaną mu ich właścicielkę. Niebawem też wraz z misternie naprawionemi trzewiczkami, ofiarował Fanny ich właścicielce swoje serce. — Zawarcie związku małżeńskiego, wkładając nowe obowiązki, pobudziło sumiennego Stefensona do tym usilniejszej pracy, zarzucił łatanie trzewików, a wziął się do naprawiania zegarów zatrudnienia odpowiedniejszego jego usposobieniu; przytem poświęcał każdą wolną chwilę, zbywającą mu od pracy zarobkowej, badaniu machin i kształceniu się w zawodzie mechanicznem.

Zajmowała wtenczas inżynierów i mechaników zagadka: jakby można najtańszym kosztem węgle z kopalni do rzeki sprowadzać. Były już wozy ciągnione po szynach przez ludzi lub koni, ale nikt jeszcze nie wpadł na myśl, jakby to zamiast koni lub ludzi użyć siły parowej, chociaż maszyny parowe już były znane. Stefenson zaczął przemyśliwać nad tem, robił różne próby, i nareszcie po czteru latach pracy, wynalazł wóz z kotłem parowym, który lokomotywą albo rusznią nazywamy, i który dziś już po całym świecie jest znanym i używanym Z wielkiemi musiał walczyć trudnościami, zanim mu pozwolono i dano pieniędzy na budowę takiej kolei żelaznej. Sam rząd angielski był temu przeciwnym. Wytrwałością swoją zwyciężył Stefenson, i w r. 1818 stanęła pierwsza kolej żelazna łącząca miasta Witton i Stoktone. Z wielką uroczystością odbyto pierwszą próbę — tłumy ciekawych zbiegały się i podziwiały ten wynalazek, który nie z nieba zleciał, nie przypadkowo odkryty został, ale przez usilną pracę skutkiem uwieńczony został.

Nie przestał na tem Stefenson, — on ciągle pracował i przemyśliwał nad ulepszeniem swego wynalazku. Raz zapytał go jeden z inżynierów: Czy potrafisz twoją kolej poprowadzić przez trzęsawiska i bagna? Stefenson odpowiedział: Za pomocą Bożą przebędziemy bagna, i to wielkie bagna między miastami Liwerpool a Manchester — Jesteś szalonym; odpowiedział



Kolej idąca przez moczary.

inżynier. Na to Stefenson nie odpowiedział nic, ale w ośm dni potem zabrał się do tych niezmiernych trzęsawisk, i 1 stycznia 1830 r. otwartą została kolej przez te bagna, nazwane Chat Mos. Obrazek nasz przedstawia właśnie kolej żelazną idącą przez te bagna

Później wystawił Stefenson olbrzymi most, należący do cudów w kraju angielskim. Tyle zdziaławszy dla kraju swego i całej ludzkości, zapragnął Stefenson wypocząć po trudach, i oddał się z zamiłowaniem gospodarstwu wiejskiemu.

Nabyte pracą usilną dostatki i znaczenie, nie zmieniły jego szlachetnego usposobienia, był równie skromnym i przystępnym dla każdego z swoich dawnych towarzyszy, jak gdy z niemi w kopalniach pracował. W lecie wstawał o wschodzie słońca, w zimie wcześnie przededniem. Odwiedzał swoich sąsiadów wspierając ich zdrową radą i udzielając wsparcia potrzebnym. Gospodarstwo jego było wzorowem, uczęszczał regularnie na posiedzenia towarzystw rolniczych, i dumniejszym był z medalu otrzymanego na wystawie za piękne jarzyny, owoce, lub dorodne jałówki, jak z dwóch orderów, któremi go Belgia i Francya obdarzyły. — Dom jego był otwartym dla wszystkich i z równą uprzejmością ugaszczał w nim lordow, jak i kopaczy, niegdyś współpracowników. Doczekał starości opromienionej czcią i poważaniem wszystkich współobywateli, oraz szczęściem wypływającem z wewnętrznego zadowolenia, które tylko pracą uczciwą i wytrwałością w sumiennym wypełnianiu swoich obowiązków zdobyć można. — A gdy go Bóg powołał do innego życia, współobywatele jego dla uczczenia pamięci tego niezmordowanego i genialnego pracownika, wystawili mu pomnik w mieście Liverpool ze składek, do których się przyczyniło trzy tysiące sto pięćdziesiąt rzemieślników których on był naczelnym ojcem i wodzem.

Smutne czasy w Polsce.

Wiecie wszyscy jaki to kłopot mieć złego sąsiada, a szczególniej takiego, co pożądliwem okiem patrzy na cudzą własność i czycha, aby ją sobie mógł przywłaszczyć. Otrząść jabłoń w ogrodzie do jego sadu przypierającym, wpuścić bydlę na cudze pole, użąć kilka snopków na niwie sąsiada, a nawet worywać się potrochu w jego miedzę, to wszystko niczem u niego. I obroń że się od takiego! Kłóć się z nim, bij i procesuj! Zaprawdę, lepiej od razu sprzedać co się ma i wy-

nosić się za dziesiątą górę, niż cierpieć złego sąsiada, którego ani się pozbyć, ani udobruchać niepodobna. Cóż dopiero, gdy się ma dwóch, trzech albo i więcej takich złych sąsiadów.

Jeżeli wielką i bogatą Ojczyznę naszą Polskę przyrównamy do zagrody kmiecej i przypatrzymy się, jakich to ona drapieżnych miała w około sąsiadów, dziwić się potrzeba, że ojcowie nasi potrafili się im opierać przez lat blisko tysiąc, że im zaraz z początku nie ulegli. Bo też to Krzyżacy, Niemcy, Czesi, Turcy, Tatarzy, Moskale, Szwedzi — siedmiu na jednego, to nie żart.

Żeśmy prędzej nie zginęli, to zawdzięczamy najprzód Bogu, a potem dzielnym monarchom naszym i szlachcie, w której jednoczyła się cała siła narodu. Jużto szlachcie możnaby bardzo wiele zarzucić, ale co prawda, to prawda, gdyby nie ona, to już od wieków nie byłoby ani śladu Polski.

Ale nie tylko szabla szlachecka stanowiła naszą siłę. Kto umie żyć w zgodzie, nawet ze złymi sąsiadami i w domu nie waśni się ze swymi, ten jest prawdziwie potężnym. Owoż królowie nasi nie zawsze wojną, ale często dobrocią poskramiali nieprzyjaciół i wszelkiemi silami starali się o utrzymanie zgody z niemi, o utrzymanie zgody w kraju. Choć w Ojczyźnie naszej oprócz Polaków mieszkali i Rusini i Litwini i Prusaki, i nawet Niemców dość osiadało, przecież wszyscy w zgodzie ze sobą żyli, podczas gdy w innych krajach królowie z poddanymi, a poddani pomiędzy sobą, zwłaszcza gdy się religią różnili, krwawe staczali boje. Dalej siłą naszą były wielkie bogactwa, które kraj posiadał. Handlem wzbogacał się szlachcic, bo zboża sprzedawano dużo; wzbogacał się mieszczanin i kmieć — cały kraj rósł w dostatki. Szlachta, mieszczanie, nawet żydzi kosztowne nosili ubiory. Cienkie sukna, jedwabie złotem przerabiane, drogie futra, łańcuchy złote nosili i panowie i mieszczanie; chłop nie żywił się tak nędznie jak teraz, bo ziemniaków jeszcze nawet nie znano i mięso miał często na swoim stole. Do pańskich stołów wyszukane przysmaki licznych zwabiały gości, bo Polak zdawna słynął z gościnności. W parze z bogactwami postępowała oświata. Szkół było wiele i dobrych; uczęszczali do nich nietylko synowie szlachty, ale

i mieszczan i kmieci, a były to szkoły dobre i głównie uczono w nich obowiązków obywatelskich, aby ten, co z nich wyjdzie, był nietylko sobie, ale całemu krajowi użytecznym

Z zamożności, z zamiłowania do nauk i gościnności, Polska zasłynęła w całym świecie, toż zewsząd zbiegali się cudzoziemcy i osiadali w naszej Ojczyźnie po miastach. Pomiędzy tymi przybyszami było wiele takich, których gdzieindziej prześladowano, jak np. żydzi, lutrzy i tp, którzy za gościnność u nas doznaną, pokochali Polskę jak matkę. Miasta były ludne, bogate, w nich rzemieślników więcej było niż dziś, i wszyscy lepiej się mieli. Owóż zgoda, bogactwo i oświata stanowiły naszą siłę, naszą potęgę i dopóki tej potęgi nie zabrakło, bali się nas nieprzyjaciele i siedzieli cicho.

Czasy, w których tak dobrze działo się w Polsce, nazywają dlatego złotemi. Niestety, te czasy złote skończyły się, a potem już wszystko było inaczej. Nieprzyjaciele pograniczni nadspodziewanie prędko urośli w wielką potęgę. Polacy katolicy przestali żyć w zgodzie z Polakami innych wyznań; nie dopuszczano lutrów do urzędów, a ci oburzeni, wiązali się z nieprzyjaciołmi i naprowadzali ich do Polski. Kozacy szyzmatycy prześladowani, podnosili straszne bunty i przechodzili pod panowanie szyzmatyckiej Moskwy lub wojowali Polskę. Handel zmniejszył się, przemysł upadł, wszyscy ubożeli. Szkoły były coraz gorsze, szlachta zgłupiała, moralność upadła, gardzono chłopkiem i poczęto go uważać jako własność dziedzica, którą tenże mógł dowolnie rozrządzać. Nikt nie dbał o Ojczyznę, tylko o własną kieszeń, duch rycerski osłabł, i tylko w mniejszych dworkach szlacheckich utrzymał się jeszcze. Zresztą o wygódkach tylko myślano. Nie było już wielkich ludzi, dzielnych hetmanów, owych sławnych Tarnowskich, Żółkiewskich, Koniecpolskich, Chodkiewiczów, ale pomnożyła się liczba niedołęgów i zdrajców.

Gdy tak źle się dzieje, Szwedzi prowadzeni przez zdrajcę Radziejowskiego, pod wodzą króla swego Karola Gustawa wpadają jak piorun do Polski, zajmują kawał kraju bez oporu, bo szlachta choć się w dość znacznej kupie na ich odparcie zebrała, nie miała ani ochoty ani odwagi walczyć z nieprzy-

jacielem. Z drugiej strony wpadają Moskale i szarpią ciało naszej matki ojczyzny, już prawie cała Litwa wpadła w ich ręce. Szwedzi niczem niewstrzymani idą tymczasem coraz dalej, zajmują Warszawę i całe prawie Mazowsze. Król polski, Jan Kazimierz, z nielicznem wojskiem próbuje szczęścia, ale mu się nie udaje, odjeżdża do Krakowa, tam go namówiono, aby wraz z królową uszedł za granicę. Król szwedzki pobiwszy wojsko polskie, obległ Kraków, i biedne miasto po długiej walce, poddać się musiało. W tem Kozacy pod wodzą Chmielnickiego wpadają na Ruś razem z Moskalami i oblęgają Lwów. Był to nowy, okropny cios dla Polski, tem straszniejszy, że Kozacy byli braćmi naszymi. Ledwie namówiono Chmielnickiego do odstąpienia Lwowa. Moskale z jednej, Szwedzi z drugiej postępowali strony, i już prawie całą Polskę zalali. Gdzie przyszli palili, rabowali nawet kościoły, i mordowali ludność i księży. Wojsko polskie nie płatne, nie chciało z nimi walczyć i poddawało się nieprzyjaciołom. Król Jan Kazimierz szukał posiłków u obcych monarchów, ale ich nie dostał, i słał upomnienia do narodu, aby się kupiono gromadami i uderzono na nieprzyjaciela, ale upomnienia jego nie skutkowały.

Wśród tych okropności, nieszczęśliwy naród w religii tylko znajdował pociechę, w miłosierdziu boskiem całą pokładał nadzieję, to też u stóp ołtarzy kupiono się gromadami i błagano Boga o litość. Swiętobliwi kapłani umieli utrzymać lud w pobożności, a zarazem nie szczędzili największych ofiar na potrzeby Ojczyzny, i nawet śrebra kościelne pozwalali zabierać dla przekowania ich na pieniądze. Co większa, właśnie z pomiędzy duchowieństwa wyszedł mąż, który przykładem swoim pokrzepił upadających i wskrzesił ducha w narodzie. (D. c. n.)

Bobry.

Gdyby was moi mili zaprowadzić do północnej Azyi, lub Ameryki (to są już inne części świata) i pokazać na głębokiej rzece tamę, do stu stop długości, a dwanaście szerokości — z kilkoma otworami, do przepuszczenia wody; i tak fundamen-

talną, że się opiera biegowi rzeki; bez wątpienia powiedzieli byście że ludzie, i to zdatni, i umiejętni, postawili tę tamę.

A gdybyście potem ujrzeli, przytej tamie — pietnascie do dwudziestu domeczków okrągłych, mających trzy, pięć, a czasem i ośm stóp szerokosci, z małą groblą stykającą się z tamą; — gdybyście te domeczki znalezli, o dwóch, lub trzech piętrach, i tak wybudowane, że największe deszcze i wichry nie mogły by ich poruszyć, gdy do tego widzielibyscie te domeczki, i zwierzchu przyozdobione, — bez wątpienia myslelibyscie że te domki postawili jacyś mali ludzie, ale silni, którzy wybudowali nad wodą tę wioskę.

A oto wszystko, co tu opisane jest dziełem małego zwierzątka, co nie dłuższe, od ręki do ramienia, — jest dziełem bobrów. Nie używają one do budowania tych pomieszkań, nic prócz własnych zębów, nóg, i ogona okrytego siercią, i łuskami.

Te dowcipne zwierzątka łączą się w jedną gromadę, czasem i po trzysta, scinają drzewa stojące nad brzegiem rzeki, piłują je zębami przy ziemi, — i tak zręcznie kierują, aby drzewo upadało na wodę. — Poczem obcinają mu gałęzie, i rzną na mniejsze sztuki, a z nich robią pale, i sadzą je prostopadle, — dalej gniotą ziemię, i kładą ją między pale, przyklepując ogonami, jakby kielnią.

Cała ta gromada buduje ławę wspólnie, i z równą gorliwoscią. — Bywają takie domki, w których i dwanascie miesci się bobrów, z tyluż samicami a wszystko żyje w jak najlepszej zgodzie.

W jesieni zbierają sobie zapasy miękkich kor z drzewa które chowają w małych komorach oddzielnie od mieszkań.

W dnie pogodne można widzieć bobrów, jak wyglądają oknami u swych pokoi, przedniemi łapkami oparte na oknie i przypatrują się przejrzystej wodzie.

Kupią się często a gdy spostrzegą jakiego nieprzyjaciela biją w wodę szerokiemi ogonami — szelest ten rozchodzi się od jednego do drugiego końca tej małej osady; w mgnieniu wszyscy ci mali mieszkańcy, rzucają się we wodę i zanurzają się w niej aby uniknąć ścigania prześladowców.

Lecz któż też ma tak nie dobre serce, że prześladuje te sprytne a niewinne stworzenia.

Są to ludzie, co łowią bobry dla ich pięknego futra, — i dla tego burzą im te z trudem wybudowane mieszkania.

To też biedne bobry, choć niektóre ocalały od żelaza myśliwych rozprószone idą się błąkać po obcych stronach Czasami łączą się powtórnie, z wiosną wracają poprawić mieszkania — jeżeli takowe nie są jeszcze z gruntu zniszczone

Ale większa część przestraszona, i opuszczona idzie kopać sobie długą dziurę pod ziemią na kształt jam króliczych, i tam siedzą smutne i strapione, bo strach odejmuje im pilność i dowcip.

Wtedy przynajmniej nie są już przesladowane, ponieważ bobry, mieszkające w ziemi nie mają dobrych futer, i dla tego myśliwi nie uganiają za niemi.

I u nas w Polsce dawnemi czasy nad rzekami i jeziorami roiły się liczne gromady bobrów. Były nawet osobne prawa co nie pozwalały wyniszczać tych pożytecznych zwierzątek. Ale gdy puszcze się więcej zaludniły gdy siekiera wytrzebiła lasy, chciwość ludzka a po części i nasza własna nieporadność i nierozmyślność wyniszczyły bobrownie. A przynosiły one znaczne zyski i wiele pieniędzy przybywało do Polski za futra i strój bobrowy. Teraz zaledwie podobno na Polesiu i w puszczach, litewskich gdzie niegdzie bóbr się nawinie.

Niechajże sobie teraz leniwy, i bezmyślny człowiek wezmie te zwierzątka na uwagę, i zawstydzi się jeżeli przez lenistwo, brak nauki i przemyślności mieszka w ciasnej niewygodnej i brudnej izbie, — czasem nawet razem z bydłem bieduje przecież mając ręce zdrowe, i rozum od Boga, może sobie więc tyle zarobić, aby mieszkał w czystej wygodnej chałupie. Przypominajcie sobie często o tych zmyslnych i pracowitych zwierzątkach, i niech wam służą za przykład pracy i zgody.

Ludka z Myślenic.

Dodatek.

Wojna francuzka.

Nie jednemu z was wiadomo, czytelnicy mili, że między Francuzami a Prusakami obecnie zażarta toczy się wojna. Obiecaliśmy wam podawać najciekawsze wiadomości z tego co się teraz w świecie dzieje, więc rozpoczynamy tem, co obecnie wszystkich najbardziej zajmuje. A tem jest wojna francuzka.

Cesarz Francuzów, Napoleon, nie odziedziczył tronu swego cesarskiego, tak jak ktoś z nas po ojcu bierze puściznę, nawet nie został wybranym z woli ludu swego, ale przemocą wdarł się na tron, pozyskał wojsko i część jedną narodu, i mimo niechęci wszystkich prawie, włożył koronę na głowę i rozpoczął swe panowanie. Ale jakie to było panowanie? — Oto, z początku niby to przychylny dla swego kraju, jak skoro urosł w potęgę, począł uciskać naród cały. A naród cierpliwie to znosił; — gdy cesarz Napoleon, aby dogodzić swym zachciankom, coraz większe nakadał podatki, naród dobywał ostatni grosz ze skrzyni i płacił, — za każde słowo śmiałe, zaraz do więzienia zamykali, — nikt nie był wolnym, — naród znosił to, cierpiał i czekał; — on skoro obaczył, że naród zaczyna o sobie myśleć, że nie koniecznie z jego panowania zadowolony, umyślił kraj zniszczyć, naród osłabić, aby nad słabymi tem łatwiej panował. I jak to uczynił? Oto bez żadnego powodu wypowiedział wojnę Prusakom, i wywiódł wojsko przeciw nim. Pruski król Wilhelm, podobny zupełnie z usposobienia Napolęonowi; i taki jak on ciemiężca swego ludu, dawno już przewidywał podobną rzecz, i dobrze był przygotowanym. Wojsko swoje uzbroił w nowo-wynalezioną broń; — dał im karabiny, co to z tyłu się nabijają, i bardzo szybko raz po razu nimi strzelać można; — dał armaty zupełnie nowe, bardzo dobre, mocno i daleko strzelające Z takiemi przyborami wojennemi wystąpił król Wilhelm do wojny, prowadząc z sobą milion żołnierza. Bo w Prusach, trza wam wiedzieć, każdy dorosły, jeżeli tylko nie jest kaleką, to do wojska należy, i bić się musi. Biedni rolnicy, kupcy, urzędnicy, lekarze, słowem wszyscy musieli stanąć i iść się bić przeciw Francuzom. Tymczasem cesarz Napoleon widocznie naród swój zdradził; on wywołał wojnę, a do niej nie był przygotowanym. Przeciw milionowi całemu pruskiego wojska, złączonego z całem niemieckiem, postawił Napoleon ledwie dwieście pięćdziesiąt tysięcy swego żołnierza, więc niby jednego na czterech. To też król Wilhelm zaraz z początku pobił to wojsko w kilku bitwach.

Napoleon zebrał wojsko drugie i stanął z niem pod miastem Sedanem. Tu już wyraźną zdradę popełnił. Jenerałowie francuzcy chcieli się bić, chcieli na przebój pójść przez nieprzyjaciela, i wojsko uratować od zguby, a on, ten cesarz Napoleon, siebie i całe wojsko poddał w haniebną niewolę! Jak świat światem, nigdy jeszcze tak wielka armia nie poddała się nieprzyjacielowi! Taką haniebną zdradę na swym własnym kraju popełnił cesarz Napoleon! Kara go spotkała za to, lecz on nie wiele się troszczy o to, bo w niewolę pruską zabrany, — on ten dumny cesarz Francuzów, — otrzymał mieszkanie w pysznym zamku (Wilhelmshöhe) i tam dobrze jedząc i pijąc, bez troski, o dalszy los nieszczęśliwego z jego winy narodu, spokojnie dnie przepędza.

Wspólnicy zdrady cesarskiej dalej dzieło zdrady prowadzili. Dowódcy poddawali się jeden po drugim. Nawet sam marszałek Bazaine, który ze sto pięćdziesiąt tysiącami doborowego wojska w fortecy Metz się zamknął, poddał się Prusakom i wojsko to ogromne oddał w niewolę.

Mimo to wszystko, mimo że całe wojsko w niewoli, lud francuzki nie stracił nadziei. Oto kilku mężów stanęło na czele całej Francyi! Postanowili życie położyć, cały naród pod broń wezwać, i zginąć, lub wypędzić najezdników.

Myślicie czytelnicy, że taz gdy Francyę król pruski upokorzył, gdy wojsko i cesarza wziął w niewolę, — że on już zaprzestał, i zadowolony zwycięztwem skończył tę straszną wojnę. Nie — chciwość pruska nie zna granic!

Król pruski i jego piekielny doradca Bismark, postanowili całą Francyę zniszczyć i w rzekach krwi utopić! Całą siłą zjednoczonych wojsk pruskich rzucili się na Paryż — tę stolicę piękną Francyi, — i postanowili w gruzy ją obrócić. Ale siła narodu obudzonego oparła się im. Oto jakby z pod ziemi wyrosły liczne wojska francuzkie — wyrośli mściciele grabieży, pożog i łupieztw pruskich. Dzielny Gambetta powołał gorącemi słowy cały naród francuzki pod broń. Mieszkańcy miast stanęli jak jeden mąż, wieśniacy uzbroili się, i gdzie mogą niszczą wroga. Los tej wojny nie rozstrzygnięty jeszcze. Francuzi dobrą mają otuchę w słuszności swej sprawy, — zima sprzyja im, mróz i zaspy śniegowe niszczą wroga, — koniec ostateczny Bogu tylko wiadomy!

O dalszych losach tego nieszczęśliwego bratniego nam nanarodu, jak niemnicj o wszystkiem co się teraz w świecie i u nas dzieje, donosić wam będziemy w dalszych numerach, mianowicie dwa razy każdego miesiąca.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.